

MICHAŁ MORPHY.

# KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

5

Baronowi de Bressien, bardzo świeżemu milionerowi, który doszedł do poważnego stanowiska w świecie finansów, zależało teraz ponad wszystko wkręcić się w świat wyższy i wpływowemi i arystokratycznymi znajomościami kazać zapomnieć otoczeniu o zanadto świeżym tytule swoim i majątku.

Znaczenie i stanowisko kupuje się drogo, a markiz de Kermor, jeden z najpierwszych arystokratów Francji, był na drodze sprzedania tej cennej rzeczy, tak brakującej finansistom. Wciągnięcie więc markiza w swoje przedsiębiorstwo było dla bankiera wspólną przynętą, rzucaną w ten świat utytułowany, który ignorował go dotąd. Należało tylko teraz zresztą przyspieszać jego ruinę, podczas gdy Sydonia ze swej strony prowadziła grę artystyczną wobec markizy, której lekceważyć nie było można.

Jednego dnia, czując już pewny teren pod nogami, Bressien przystąpił odważnie do ataku.

— Ach, markizie — rzekł do Kremora — spotkawszy go na wycieczkach w Auteuil — Gdyby pan wiedział, jak się czuję nieszczęśliwym.

— Nie wzruszaj się zbyt, baronie, na taki upał — zaśmiał się złośliwie markiz, lubiący żartować ze swojego bankiera.

— Panie markizie, zechciej mnie wysłuchać, chodzi o rzecz bardzo dla mnie poważną.

— Jeżeli o uregulowanie jakich rachunków, to zwróć się, mój przyjacielu, do pana Delrue. Nie zajmuję się sprawami tego rodzaju.

— Markizie, to chodzi o moją córkę.

— Oh! przepraszam! Zaniedbałem zapytać się o nią! Czyżby ta miła osoba czuła się niezdrową?

— Tak i nie. Powiem panu szczerze, jak ojciec ojcu, który rozumie.

— Tylko przez litość nie tutaj, baronie. Zatrzymaj pan swoje ojcowskie serce w stosownym miejscu, obok portfela, bo mógłby je kto ukraść.

— Jesteś pan bez litości dla mojego biednego dziecka.

— Dźwigającego kilkadziesiąt milionów na swojej kształtnej głowie. No, zresztą mów, bankierze, o złotem sercu.

I Bressien zaczął opowiadać, jak Sydonia wyręczyła go wobec markizy w przeprowadzaniu przykrych finansowych kwestii, zmusiła go do wyrzucenia się procentów, a uczyniła to wszystko, powodowana najwyższą czcią dla markizy i... silnem uczuciem dla hrabiego Henryka, którego pomimo wszelkich rozumowań przewyciężyć nie mogła.

— Jednem słowem — kończył bankier — córka moja jest najniebezpieczniejszą istotą pod słońcem. Moje jedyne dziecko cierpi w sposób nie dający się opisać i czuję, że ją wkrótce stracę. Wczoraj uwiadomiła mnie o stanowczym zamiarze wstąpienia do klasztoru, a ja...

— Ho! ho! aż tak — wyrzekł markiz powoli — Nie sądzę jednak, żeby rzecz była tak poważna, jak ją pan przedstawiasz. Może to tylko nieszkodliwa miłośćka młodej dziewczyny. A czy nie wiadomo panu, czy syn mój podzielił to uczucie?

— Nie! Skoro Sydonia cierpi tak niewymownie.

— A markiza cóż na to?

— Obchodzi się z dzieckiem mojem, jakby to była już jej własna córka...

— Kto wie, może to się da jakoś ułożyć — wycedził po chwili zastanowienia markiz — Ale mówmy otwarcie. Ten posag stumilionowy to nie bajka?

— Nie, tylko hrabia Henryk dostałby w danym razie połowę.

— Dlaczego?

— Bo jestem pana przyjacielem, bo druga połowa do pana należeć może. Chcę panu markizowi zwrócić wszystkie sprzedane i zastawione dobra, majątek Kermorów. Będzie to druga część posagu mojej córki.

— Naprawdę, Bressien, jesteś nieocenionym człowiekiem — odparł markiz — Bądź spokojny, pomyśl o tem.

— — — — —  
Hrabia Henryk de Kermor, głównie interesowany w tej sprawie, bawił podówczas w południowej Afryce i, narażając się dla zdobycia majątku na rozliczne niebezpieczeństwa po dżunglach, pustyniach i lasach dziewiczych, nie przypuszczał ani na chwilę, że tam w Paryżu postanowiono już o jego losie.

Tymczasem de Bressien niecierpliwił się coraz więcej. Coś psuć się zaczynało w jego sławnych kopalniach złota. Akcje jego spadały, a rywalizacje innych banków dokuczały mu coraz dotkliwiej. Przytem bankier rujnował się w świecie, gdzie zamiast pożyczonych kapitałów otrzymywał pańskie obietnice, poparte łaskawem podaniem ręki. Małżeństwo Sydonii z hrabią de Kermor stawało się już koniecznością, nową reklamą i przynętą. A należało się spieszyć, póki wierzone jeszcze w okrzykane sto milionów posagu.

Wtedy to de Bressien przez Andrzeja Delrue zawezwał młodego hrabiego do powrotu.

## Dalszy ciąg dramatu.

Andrzej Delrue, przyniósłszy nieprzytomnego przyjaciela do pałacu, zawezwał natychmiast domowego lekarza i sławnego chirurga. Chociaż przeniesienie rannego z powozu do pokoju odbyło się dyskretnie i cicho, jednakże markiza, którą niezwykle szmer zbudził z pierwszego snu, zaniepokojona, przebiegając coś złego, wbiegła do pokoju syna.

— Panie Delrue! Co się stało! Błagam pana, opowiedz mi całą prawdę.

Na widok nieprzytomnego Henryka zbladła silnie i rzuciła się ku łóżku.

Delrue z trudem odciągnął ją, pocieszając, że to tylko lekkie omdlenie spowodowane wzruszeniem i w krótkich słowach opowiedział całe zajście, opuszczając naturalnie to, co było najważniejsze dla niego, że broniona przez młodego hrabiego dziewczyna była Janina le Brenn.

— Gdzie się to działo? — zapytała markiza.

— Za kasarniami Chateau d'Eau.

— A więc w dzielnicy Temple?

— Tak, pani markizo.

— To szczególne! Bardzo szczególne! Muszę to wyjaśnić — szepnęła cicho markiza.

Jeżeli markiza de Kermor uda się do dzielnicy Temple i odnajdzie swoją małą protegowaną, to dowie się od niej, że ona to była ofiarą tej nocnej napaści. Wtedy cały plan jego ulegnie zniszczeniu.

W tej chwili służba wprowadziła zawezwanych lekarzy, którzy przystąpili do opatrzenia rannego. Rana na szczęście nie okazała się zbyt niebezpieczną. Chirurg był tylko zaniepokojony objawami gorączki, wzmagającymi się z każdą chwilą.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekł do swojego kolegi. — Rana tak świeża nie wywołuje nigdy tak silnej gorączki, może syn pani markizy czuł się już niezdrowy, wychodząc z domu? — zapytał zwracając się do pani de Kermor.

— Nie sądzę!... Chociaż... syn mój powraca właśnie z południowej Afryki, gdzie klimat jest bardzo niezdrowy, przytem miał w ostatnich czasach przykre przejścia...

— Otóż to właśnie — potwierdził lekarz — bo widzę, że stan nie jest normalny. Gorączka jest niezależna od otrzymanej rany. Musimy zapobiedz, aby się nie wzmogła.

Po odejściu lekarzy markiza de Kermor pozostała sama w pokoju syna; przedtem jeszcze uprosiła Andrzeja Delrue, aby udał się na spoczynek.

Ranny nie odzyskał przytomności, chwilami przebudzał się i rozgorączkowanym oczyma patrzył wokoło, nie wiedząc widocznie, gdzie się znajduje. Markiza zmuszała go wówczas do wypicia lekarstwa uspakajającego i pytała, pochylając się nad nim, z niepokojem:

— Henryku! dziecko drogie! Czy cierpisz bardzo! To ja! Twoja matka! Odpowiedz mi!

Chory nie odpowiadał, tylko wstrząsał się nerwowo, a oczy jego zachodziły łzami.

— Co ci zrobili, dziecko moje, powiedz? Nie, tylko rana ci dolega, nieprawdaż? Cierpisz, a nie chcesz się zwierzyć matce swojej?

Markiza wybiegła z pokoju, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem. Gdy powróciła Henryk leżał z twarzą ukrytą w rękach i ikał cicho. Ale na nagłe zapytania matki nie chciał żadnej odpowiedzi. Markiza usiadła przy łóżku i zapadła w ciężkie zamyślenie. Usiłowała odgadnąć tajemnicę, dręczącą jej syna.

Nagle oświadczenie się jego o rękę panny Sydonii, w sam dzień powrotu do Paryża, wydało jej się nienaturalnem. Czyżby kochał ją jeszcze przed wyjazdem i zataił przed nią tę miłość?

Markiza pogodziła się już z myślą nazwania córki bankiera synową, chociaż nie była to żona, o jakiej marzyła dla jedynaka. Pogodziła się jedynie dlatego, iż dotąd przypuszczała, że Henryk ją kocha! Ale teraz pewne wątpliwości zajaśniały w jej stroskany umyśle. Co znaczyć mogły łzy i podniecenie Henryka i to uporczywe milczenie, do którego z jego strony nigdy nie była przyzwyczajoną? Może Henryk

poświęcał się, aby tem małżeństwem uratować ruinę rodzinną; może uległ naleganiom markiza i wiązał się z Sydonią, kochając inną kobietę?

Markiza myślała długo, wyteżając umysł, aby uchwycić choć błysk jeden prawdy, mogący jej rozjaśnić sytuację właściwą.

I nagle myśl jedna, przypuszczenie wstrząsnęło nią gwałtownie! Przypomniała sobie, że zmiana, jaką zauważyła w Henryku, trwa od dnia jego zaręczyn. On, dawniej tak kochający i szczerzy wobec matki, unikał rozmowy z nią, jakby lękał się zapytań, na które nie chciał czy nie mógł znaleźć odpowiedzi, pogrążając się w milczeniu zimnem i obojętnem.

Dopiero wiadomość o nagłym zniknięciu Janki wyrwała go z tego stanu. Zapytał matkę o adres jej mieszkania i jak szalony pobiegł jej szukać. Powrócił zgnębiony, z wiadomością, że Janka przeprowadziła się i dnie następne w większej części spędzała poza domem, okazując silne zdenerwowanie. I teraz markiza, odnawiając w sobie te wspomnienia, zapytywała siebie, czy główną przyczyną troski i choroby jej syna nie była mała jej pupilka i czy również nieszczęśliwa miłość nie zmusiła tej ostatniej do tajemniczego opuszczenia domu, w którym prawie uważano ją za członka rodziny. Czując, że nie może zostać jego żoną, oddaliła się dobrowolnie, nie chcąc zdradzić ukrytej w sercu tajemnicy. Spostrzeżenie, że Henryk otrzymał był ranę właśnie w dzielnicy Temple, zamieszkaną przez młodą robotnicę, utwierdziło jeszcze silniej markizę w jej domysłach.

Henryk poruszył się na łóżku niespokojnie, rozpalona twarz jego przybrała wyraz rozpaczy i bólu; nagle wyprostował się i zawołał groźnie:

— Baronie de Bressien! Strzeż się! Chciałeś doprowadzić mojego ojca do samobójstwa! Ale ja tu jeszcze jestem! Ojcie! przysięgam ci, że się ożenię z córką bankiera! Mam! prawda, że ona jest piękna i dobra, ta milionowa panna!...

Markiza zbladła z przerażenia. Teraz wiedziała już wszystko! Jej syn ukochany miał paść ofiarą lekkomyślności ojca i podstępny nikczemny człowiek.

Podbiegła do Henryka, objęła go ramieniem, nie wiedząc co czynić, co powiedzieć, aby go uspokoić. I nagle zdobyła się na słowa, które jedynie intuicyja i serce matki podszeptać mogło:

— Henryku! moje dziecko drogie! Uspokój się! Ja nigdy nie pozwolę na ten związek, odszukamy Jankę i niech się dzieje co chce, abyś ty tylko był szczęśliwym!

## Nazajutrz.

Baron de Bressien obudził się dnia tego w bardzo złym humorze, jak gdyby przeczuwając, że spotka go coś nieprzyjemnego.

Pierwszą jego czynnością, jak to czynił codziennie, było baczne obejrzenie misternego zamku kasy ogniotrwałej, stojącej w pokoju. Zauważył, że kasa była otwierana. Ktoś tu był! Ale kto?

Jedynie córka jego posiadała sekret tajemnych znaków i klucz. Otworzył kasę i z niepokojem zauważył brak kwitu Andrzeja Delrue.

Natychmiast zatelefonował do apartamentów córki.

— Uspokój się, ojcie! — brzmiała odpowiedź — Idę do ciebie!

Za chwilę Sydonia wbiegła do gabinetu ojca wesółą i swobodną.

— A co? Przestraszyłeś się, ojcie? To ja jestem winowajcą, który dobrał się do twojej skrytki.

— W jakim celu? Czego szukałaś?

— Poco pytasz, skoro wiesz.

— Wzięłaś kwit Andrzeja Delrue?

— Tak jest.

— W jakim celu?

— Aby go przypiąć do czeku na pół miliona franków, który dasz mi zaraz, ojcie drogi!...

— Co? Nigdy w życiu!

— W takim razie zmusisz mnie do fałszerstwa. Zrobię tak, jak Delrue!

— Ależ zastanów się! Taka suma! Może powiesz mi przynajmniej, do czego ci ma służyć?

— Do dodania odwagi Andrzejowi Delrue, który bardzo jej potrzebuje.

— Do dodania mu odwagi? Do czego? Mówże wyraźnie!

— Jesteś bardzo ciekawy! To jest konieczne do upewnienia mojego małżeństwa!

— Twoje małżeństwo jest rzeczą pewną!

— Nie tak bardzo, jak ci się zdaje! Jest przeszkoda!

— Ważna?

— Bardzo, skoro potrzebuję do usunięcia jej pół miliona franków.

— Cóż to jest? Rywalka może?

— Rywalka!